

Robin Alexander: Matulka Merkel

Czy te fotki zmieniają bieg dziejów, wyzwalając wędrowkę ludów, jak utrzymują krytycy Merkel? W każdym razie zmieniają one raz na zawsze wizerunek Merkel, i to na całym świecie. Dopiero tego dnia „królowa lodu” zostaje matulką Merkel, patronką uchodźców, Matką Teresą na urzędzie kanclerza. – pisze Robin Alexander w książce „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”. Poniżej przedstawiamy fragment publikacji, którą dostępna jest w księgarni Teologii Politycznej.

W czwartek 10 września 2015 roku przy śniadaniu ciarki przechodzą po ciele kierowniczkę berlińskiego schroniska Ankę Küpschull. „Słuchałam radia i powiedzieli, że dzisiaj Angela Merkel odwiedzi schronisko dla uchodźców w dzielnicy Spandau. Zaraz pomyślałam: Czy ona czasem nie wybiera się do nas?” – wspomina. Kierowniczka schroniska Refugium Askanierring Robotniczego Towarzystwa Opiekuńczego dzwoni zaraz do swojej administratorce i potwierdza doniesienie. Już po paru godzinach kanclerz federalna jest na miejscu. Küpschull dziwi się jeszcze dzisiaj: „Była u mnie raz jeden kanclerz Niemiec, a ja nawet nie miałam jak ułożyć sobie przedtem fryzury”.

W tym domu wstępnego pobytu dla starających się o azyl Angela Merkel robi sobie najważniejsze fotografie – słynne selfiki z uchodźcami. Czy te fotki zmieniają bieg dziejów, wyzwalając wędrowkę ludów, jak utrzymują krytycy Merkel? W każdym razie zmieniają one

raz na zawsze wizerunek Merkel, i to na całym świecie. Już przedtem uchodźcy na Węgrzech machali jej portretami, lecz dopiero tego dnia „królowa lodu” zostaje matulką Merkel, patronką uchodźców, Matką Teresą na urzędzie kanclerza. Ikoną staje się motyw tego dnia: Merkel niemal tuli się policzkiem do rozradowanych uchodźców. Czym dla polityki odprężenia było klęknięcie Willy’ego Brandta przed pomnikiem Bohaterów Getta w Warszawie, tym dla polityki wobec uchodźców są selfie z Angelą Merkel.

Brandt upadł na kolana spontanicznie, ale wiedział, co robi. Politykę pojednania, która znalazła wyraz w tym geście, socjaldemokratyczny kanclerz prowadził od lat, a jeszcze dłużej ją przygotowywał. Merkel natomiast w politykę względem uchodźców wpadła przypadkiem. Nawet teraz, gdy powstają historyczne selfie, ani jej doradcom, ani jej samej nie przychodzi do głowy, co to spowoduje.

Sama decyzja o wizycie w Spandau zapada w okolicznościach nader chaotycznych. W przeddzień, gdy rzecznik Steffen Seifert ogłasza na konferencji prasowej rządu kalendarz wizyt szefowej gabinetu, o brzemiennych w skutki odwiedzinach nie pada żadna wzmianka. Mowa wyłącznie o wizycie w pobliskiej ekspozycji zamiejscowej BAMF1.

Niebawem, o godzinie 16.01, biuro prasowe rozesłało komunikat o wizycie w domu dla uchodźców. Czy to możliwe, żeby Seifert dopiero po konferencji prasowej, zakończonej nieco przed drugą po południu, dostał ostateczny placet?

O tym, jak pospiesznie zapadała decyzja, świadczy okoliczność, że dopiero na dwa dni przed wizytą wysłano straż przednią biura prasowego do ośrodka Robotniczego Towarzystwa Opiekuńczego. Zwiadowcy rutynowo dokonują inspekcji każdego miejsca, które mogłaby odwiedzić kanclerz. Patrzą, na jakim tle tam się kręci zdjęcia i jakie skojarzenia może wywołać otoczenie. Jeśli kanclerz federalnej grozi, że sfilmują ją w niekorzystnym oświetleniu, albo w sytuacji, która wywoła u odbiorców kontrowersje, wtedy zmienia się jej plan lub odwołuje spotkanie. Zazwyczaj zwiad ten odbywa się na cztery tygodnie przed wizytą. Jeszcze bardziej znamienne jest, że forpoczta wybrała się do schroniska incognito. Kierowniczka Küpschull opowiada: „Utrzymywano nas w przeświadczeniu, że to tylko prezes BAMF chce nazajutrz wpaść z gospodarską wizytą”.

Manfred Nowak, prezes berlińskiego Towarzystwa Opiekuńczego, potwierdza nietypowe postępowanie: „We wtorek spytano mnie po raz pierwszy, czy kanclerz mogłaby ewentualnie odwiedzić nasz ośrodek. Ale wszystko to określano jako ewentualność” Nowak kontynuuje: „Telefon o tym, że to naprawdę dojdzie do skutku, dostaliśmy dopiero w środę, jakoś między trzecią i czwartą po południu”. Administratorka Towarzystwa Snežana Prvulović-Hummel potwierdza, że i ona dopiero w przeddzień została powiadomiona o tej wizycie.

Kanclerski kalendarz zwykle jest planowany z dużym wyprzedzeniem. Dlaczego więc tym razem spontanicznie zmieniano plany? Merkel z zasady sama planuje swój grafik. Jeśli tego nie robi, ostatnią instancją jest kierowniczka jej biura Beate Baumann. W każdym razie Merkel w to środowe popołudnie szykuje się już do ważnej telekonferencji. Razem z francuskim prezydentem François Hollande’em będzie

zobowiązywać do utrzymania pokoju prezydentów Rosji i Ukrainy – Władimira Putina i Petra Poroszenkę. Chodzi o realizację porozumień mińskich dotyczących zawieszenia broni. Aby ustalić, kto właściwie wycofał z frontu ciężką broń, Merkel musi otrzymać objaśnienia zdjęć satelitarnych i przestudiować informacje tajnych służb. Bardzo możliwe, że nie poinformowano kanclerz tego popołudnia o zmianie planów na następny dzień, mającej przynieść tak poważne konsekwencje.

Co skłoniło otoczenie szefowej rządu, która przez niemal dziesięć lat świadomie unikała jak ognia wizyty w schronisku dla uchodźców, aby teraz dwa tygodnie po Heidenau znowu ją posłać w podobne miejsce? Chyba żaden dzień jej kanclerzowania nie był równie nieodpowiedni, by wyrwać się z bezpiecznej rutyny.

Wiadomości, które Merkel każe sobie odczytać trzy kwadransy wcześniej niż zawsze, czyli o godzinie 7.45, ukazują kraj w stanie rozpadu. Minął tydzień od otwarcia granicy i tak wielu migrantów każdego dnia ją przekracza, że władze się poddały. Nie ma nawet mowy o wszczęciu uporządkowanego postępowania azylowego dla każdego uchodźcy z osobna. Policja federalna na granicy austriacko-niemieckiej z powodu szturmów zrezygnowała nawet z notowania nazwisk przybyszów. Są po prostu przepuszczani w nadziei, że sami się zameldują gdzieś na terenie kraju w placówce wstępnej pobytu. Nie ma żadnych wiarygodnych danych o ruchu migracyjnym, jedynie szacunki. Szef administracji Górnej Bawarii Christoph Hillebrandt poprzedniego wieczoru szacuje na oko, że tylko w Monachium jest cztery tysiące czterystu przybyszów. Berliński senator do spraw socjalnych Mario Czaja w zwątpieniu przyznaje, że do stolicy co dnia trafia tak wielu ubiegających się o azyl, jak przez cały rok pięć lat temu.

Dania poprzedniego dnia zablokowała autostradę łączącą z Niemcami i wstrzymała zupełnie ruch pociągów z Niemiec. Między Flensburgiem i Padborgiem nie kursują składy. Pociągów kolei niemieckich nie wolno załadować też na promy. Przyczyna? Niektórzy z około dwudziestu tysięcy uchodźców, którzy w ciągu weekendu przekroczyli granicę Austrii, przebyli całe Niemcy i chcą przedostać się dalej przez Danię do Szwecji. Tamtejszy czerwono-zielony rząd w żadnym wypadku nie zamierza bezwarunkowo otwierać granicy i żąda od Danii rejestracji wszystkich uchodźców. Policja małego kraju jest przeciążona i po prostu zatrzymuje pociągi.

Ekipa Merkel jest zatem w stanie niepewności. Czy weekendowy powszechny zachwyty wyparuje? Czy kultura gościnności przetrwa? Czy też fakt, że rząd w sposób widoczny utracił kontrolę, przerazi ludność? Może wręcz teraz właśnie jest ostatnia szansa na wysłanie sygnału „stop”? W normalnych warunkach Merkel w tak niejasnej sytuacji nie pokazywałaby się publicznie, tylko spokojnie odczekała na zmianę wiatrów.

Dzisiaj jednak nie jest to możliwe. Dziś w kalendarzu akurat zaplanowane jest najważniejsze w całym roku wystąpienie parlamentarne kanclerz federalnej. W debacie tematycznej rozstrzygać się będzie budżet urzędu kanclerskiego, ale zgodnie z tradycją tematem będą również kierunki polityki Merkel. Czy opozycja ma szansę rozliczyć Merkel, także z polityki wobec uchodźców?

Gdy kanclerz tuż przed dziesiątą staje za pulpitem w Bundestagu po zaledwie pięciu dniach od otwarcia granicy, oczy świata zwrócone są na nią. A co czyni Merkel? Jest niewzruszona jak głaz: „Nasza gospodarka jest silna, nasz rynek pracy jest zdrowy” – zaczyna, jak gdyby kilka dni wcześniej to nie ona wywołała poruszenie na całym kontynencie. Kontynuuje ze zwykłym naciskiem: „Długofalowa polityka budżetowa otwiera pola do inwestycji zorientowanych przyszłościowo”. Merkel nie mówi jak polityk, który właśnie napisał rozdział dziejów świata, tylko jak dyrektorka kasy oszczędności na prezentacji bilansu filii z przedmieścia. Faktem jest, że po przełomie energetycznym, cyfryzacji i „ustawie o umocnieniu opieki” wspomina o polityce wobec uchodźców: „Solidny stan finansów umożliwi nam też reagowanie na nowe wyzwania”. Merkel unika jednak wszelkiego patosu. Jest to wprawdzie typowe dla kanclerz, lecz w tych właśnie dniach rzuca się w oczy.

Kraj bowiem upaja się własną gotowością do pomagania, kultura gościnności jest u szczytu. Merkel jednak nie chce stanąć na czele radosnego korowodu. To prawdziwa ironia wobec faktów, które wydarzą się już nazajutrz rano.

Czy Sigmar Gabriel wyczuł rezerwę u Merkel i zwiertzył szansę? W gruncie rzeczy szef SPD jako wicekanclerz i minister gospodarki musi w milczeniu wysłuchać debaty tematycznej z ław rządowych, z miejsca tuż obok Merkel. Jest tam zakaz przerywania czy aplauzu. Gabriel znajduje jednak sposób na złożenie alarmującego oświadczenia politycznego. W butonierce marynarki nosi wielką wpinkę z napisem: „Pomagamy #fugeeswelcome” i logotypem „Bilda”. Bulwarówka rozkręca kampanię pomocy uchodźcom i nazajutrz na okładkę daje zdjęcie wicekanclerza

pod nagłówkiem: „Gabriel przypina znaczek”. Merkel wychodzi w najlepszym razie na gapia, który chce się dopchać bez biletu na scenę. W tej gazecie, jak i gdzie indziej, jej przemowa nie znajduje odzewu.

Za sprawą tej sztuczki Gabriel staje się nagle głównym wspomożycielem uchodźców, przynajmniej na jeden dzień. Merkel natomiast zachowuje się w parlamencie małodusznie. „Kiedy pani dzisiaj słuchałam – przygania jej przemawiająca w następnej kolejności szefowa Francji Zielonych Katrin Göring-Eckardt – myślałam, że pani jest znowu w trybie administratora”. Zielona mówi nawet, czego życzyłaby sobie zamiast tego: „Jesteśmy mistrzami świata w pomaganiu i filantropii”. I rozpływa się nad „narodzinami nowych Niemiec”.

Po raz pierwszy tego popołudnia wychodzi na jaw to, co znamienne będzie dla kryzysu uchodźczego. Na tym etapie wobec radykalnej polityki Angeli Merkel nie ma w parlamencie opozycji obywatelskiej. Choćby w tych tygodniach rząd federalny działał bardzo rewolucyjnie, otwierał granice, obchodził ustawy, wydawał miliardy albo usuwał przyczyny wychodźstwa na całym globie, Zieloni i Lewica chcą być w tym jeszcze lepsi. Nawet SPD wewnątrz Wielkiej Koalicji długo stara się przebić w tym Merkel. Krytycy są liczni, ale siedzą wśród kolegów z trzech frakcji popierających rząd i ze względu na dyscyplinę gryzą się boleśnie w język. Ani jeden mówca podczas długiej debaty nie krytykuje zatem otwarcia granic jako solowego popisu w środku Europy, nikt nie mówi o zatroskaniu sąsiadów ani o fakcie, że właśnie tysiące obcokrajowców bez tożsamości ciągną przez Niemcy. Nikt nie pyta rządu federalnego, jak chce przeforsować nowe reguły dla Unii Europejskiej, skoro nikczemnie deprecjuje stare.

Brzmi to absurdalnie, lecz kanclerz otwartych granic dziś w Bundestagu znajduje się pod presją, że ma za mało empatii dla uchodźców. „Przed Heidenau nie była pani ani razu w ośrodku dla uchodźców. Nie mogłam uwierzyć, przyznaję to, że pani szerokim łukiem omijała tych, którzy stracili bliskich na Morzu Śródziemnym, którzy boją się o rodzeństwo w Aleppo, słyszą w telefonie wystrzały” – kontynuuje Göring-Eckardt.

Po tej debacie narzuca się pytanie, czy słusznie kanclerz nie stanęła na czele kultury gościnności, aby jeszcze w większym stopniu nie zrażać sceptyków? A może niezwykłą obecnie popularność oddała niepotrzebnie konkurencji politycznej?

Taka jest sytuacja, gdy wczesnym popołudniem zapada decyzja, żeby jednak odwiedzić dom dla uchodźców i to już nazajutrz rano. Być może doradcy w awaryjnym położeniu raz jeden zapomnieli o tym, co przede wszystkim wyróżniało te rządy do tej pory. Jest to ostrożność.

Sama Angela Merkel tego wieczora wydaje się po raz pierwszy od otwarcia granic rozluźniona i pogodzona ze sobą. Idzie na przyjęcie z okazji świętego Michała organizowane przez Niemiecką Konferencję Biskupów w Akademii Katolickiej. Jest to od dawna stały punkt w berlińskim kalendarzu politycznym. Tym razem ma to być jubel na cześć Merkel. „Pani kanclerz, jestem pani wdzięczny, że w ten weekend pokazała pani znak” – zagaja kardynał Reinhard Marx, przewodniczący konferencji biskupów, i unosi się w pochwałach: „Ktoś nadstawia głowę i mówi: My to zrobimy! Niemcy dają wielki znak!” Polityka Merkel wobec uchodźców nosi „podpis Europy” – zachwyca się kardynał.

Na bankiecie z udziałem czołowych postaci laikatu katolickiego kanclerz nie może się oswobodzić od licznych winszujących, a nawet admiratorów. Przy szklaneczce z bliskim Kościołowi wpływowym publicystą Volkerem Resingiem, redaktorem naczelnym czasopisma katolickich intelektualistów „Herder Korrespondenz” i Patrikiem Schwarzem, wydawcą „Christ und Welt”, katolickim dodatkiem do „Die Zeit”, Merkel porównuje otwarcie granic z likwidacją energetyki nuklearnej. Po raz pierwszy z jednorazowej decyzji humanitarnej czyni nową politykę.

Czy Merkel nadal jest w tym nastroju, gdy nazajutrz rano niebacznie zgodzi się na wykonanie zdjęć, które poruszą lawinę? Gdy kanclerz o wpół do jedenastej przychodzi do ekspozytury BAMF, Manfred Schmidt, szef urzędu, czeka na nią w bocznych drzwiach, bo odległe o niecałe sto metrów wejście główne jest zablokowane przez długą kolejkę. Od około siódmej stoją w niej starający się o azyl. Upominają się o wyznaczenie wizyty.

Dla czekających – a są to prawie wyłącznie mężczyźni oprócz kilku kobiet w chustach – przyjazd szefowej rządu jest upragnioną rozrywką. Z daleka nie rozpoznają najpierw zbyt dobrze, kto się pojawia. Ale turkusowy blezer kanclerz odcina się na tle garniturów towarzystwa przyjmującego ją przed budynkiem. Kolejkowicze zaczynają pokrzykiwać i machać. Podbiec im nie wolno. Są powstrzymywani przez policję. Po krótkiej rozmowie ze Schmidtem, który wyjaśnia jej, kto tam czeka i na co, Merkel spontanicznie rusza w stronę uchodźców.

Radosne okrzyki wzmagają się. Kanclerz, dokładnie dwa tygodnie temu obrzucona przez rodaków wyzwiskami, teraz fetowana jest przez uchodźców. Ściska dłonie i jest wyraźnie wzruszona. Policjant próbuje zapobiec pierwszej próbie pstryknięcia selfie z Merkel, lecz ona stoi twardo i zdjęcie powstaje. Ta fotka jeszcze nie obiegnie świata, ale nie jest bez znaczenia. Osobista ochrona kanclerz musi przyjąć do wiadomości, że ona tej zażyłości szuka. Teraz już ochroniarze pozwalają na dalsze wspólne zdjęcia. Na razie wkraczają, kiedy ktoś chce objąć kanclerz do zdjęcia. Potem i na to się zgadzają.

Następne zdjęcie z komórki jest niewinne. Zrobiła je Ines Harbauer w maleńkim gabineczku ekspozytury, odwiedzionym przez Merkel na początek. Blondynka nie ma tu wiele do powiedzenia. Prowadzi tylko pośrednictwo pracy. Dziesięć dni wcześniej Merkel na letniej konferencji prasowej powiedziała: „W każdym ośrodku wstępnego pobytu, tak byłoby najsensowniej, powinna być od razu Federalna Agencja Pracy. Należałoby podnosić kwalifikacje”. W mrzonce, jakoby imigranci z Bliskiego Wschodu mogli w krótkim czasie włączyć się w niemiecki rynek pracy, utwierdzają się nawzajem w tych dniach liderzy gospodarki i politycy. Obecność urzędniczki Harbauer wydaje się dowodem na realność tych koncepcji. W rzeczywistości miniaturowe biuro pracy w ośrodku dla uchodźców jest wówczas jedynym takim punktem w całych Niemczech. Dlatego wizyta Merkel ma w sobie coś z inspekcji carskiej w potiomkinowskiej wiosce. W prawdziwych Niemczech w najbliższych miesiącach zadanie będzie się sprowadzało raczej do znalezienia miejsca na pobyt dla rzesz potrzebujących niż do doszkalanania.

Z pokazowego projektu BAMF Merkel musi tylko przejść przez ulicę i już jest w ośrodku Towarzystwa Opiekuńczego. W długich korytarzach w nieskończoność ciągną się szeregi drzwi. W dawnych żołnierskich salach mieszka teraz trzystu dwudziestu zabiegających o azyl uchodźców. Kanclerz zwiedza najpierw ochronkę dla dzieci, a następnie spotyka się na rozmowę z dwiema syryjskimi rodzinami, które Towarzystwo Opiekuńcze wybrało wedle życzeń biura prasowego rządu. Potem Merkel słucha o tym, jak działa wydawanie posiłków.

O tym, kto przyszedł, w ośrodku mówi się dopiero podczas obchodu. Co ciekawe, istnieje już fotka, która pozwala rozpoznać, kto się pojawił. Jeden z mieszkańców zrobił zdjęcie na samym początku, a teraz jego telefon krąży dumnie z pokoju do pokoju. I stawia na nogi cały dom.

W tych chwilach Merkel myśli o przeżyciach w Heidenau przed dwoma tygodniami. Tak opowiada szefowi berlińskiego Towarzystwa Manfredowi Nowakowi, który towarzyszy jej w obchodzie. W Saksonii przed drzwiami srożył się ksenofobiczny tłum. W Berlinie czekają tylko dziennikarze i ekipy telewizyjne. „Przyjdzie jakieś pół godziny później, bo wszyscy w ośrodku chcą jeszcze sobie z nią zrobić zdjęcia” - informuje pracownik biura prasowego dziennikarzy zebranych przed wejściem na godzinę 11.50. Jeszcze w drodze do mikrobusu Merkel pozuje do zdjęć z uchodźcami. Wygląda na to, że sytuacja sprawia jej przyjemność. Często opisywana jako niedostępna, zdenerwowana, kiedy tylko na wakacjach zagadują do niej turyści na szlaku, tym razem dopuszcza do siebie uchodźców.

Jeden ruch ręki wystarczyłby, aby zakończyć scenę. W każdej wizycie krajowej czy zagranicznej obecne są dwie niepozorne pracownice, z których jedna zawsze nosi w torebce krótką, solidną białą linkę. Obie mogą w każdej chwili wcisnąć się między Merkel i jej natrętnych rozmówców, rozciągając swoją przenośną blokadę. Tylko że Merkel nie daje sygnału. Dopiero na koniec odmawia dalszym prośbom. Tutaj przed ośrodkiem powstają zdjęcia, które uczynią z Merkel ikonę wszystkich tych, którzy marzą o lepszym życiu. Scenki, które zagrożą jej rządowi.

Nie są to selfiki w ścisłym znaczeniu. Ponadto, wprawdzie rozchodzą się po całym świecie, ale wcale nie facebookowymi kanałami uchodźców. A po trzecie, znaczenie mają tylko trzy fotografie.

O wiele bardziej intensywnie niż wszystkie pozostałe rozprzestrzenia się selfie z Shakerem Kedidą, uprzejmym wąsatym panem. Pochodzi z Iraku. Opowiada reporterom, że urodził się w 1975 roku i należy do religijnej wspólnoty jazydów, których jako niewiernych prześladowuje Państwo Islamskie (IS). Uciec miał w lipcu 2015 roku po napaści IS na jego wioskę. Do Niemiec przybył jednak nie z terenu walk, tylko z bezpiecznej części północnego Iraku, gdzie pozostawił żonę i pięcioro dzieci.

Cała reszta jego opowieści pasuje do niemieckiego ideału uchodźcy. Kedida sprzedał traktor i złotą biżuterię żony, aby dziesięć tysięcy euro zapłacić szmuglerom ludzi. Ci przeprowadzili go szlakiem bałkańskim. Na Węgrzech trzy dni miał spędzić w areszcie. Miała go szykanować i okraść policja.

Później gazecie „Rheinische Post” opowiada, że inicjatywa wspólnego zdjęcia właściwie wyszła od kanclerz. Merkel miała go dostrzec i przywołać, a on podszedł. „Kiedy kanclerz woła, trzeba przyjść, to jest prawo” - mówi Shaker. Wiedział, że teraz musi zrobić zdjęcie. Na swoim profilu facebookowym opatruje obrazek komentarzem: „Dziś z ciocią w ośrodku w Spandau, w Berlinie”. Dostaje tysiąc sześćset lajków. Dużo, ale bez sensacji.

Skromniejsza jest kariera drugiego słynnego selfie. Dokładnie zaś – żadna. Ścisłe rzecz ujmując, selfie nie istnieje. Hassan Alasad psuje zdjęcie, które rano strzelił sobie z szefową rządu. Syryjczyk, który podaje, że urodził się w 1974 roku i pochodzi z Aleppo, nie trafił w wyzwalacz. Ale to nie szkodzi. Bo słynne selfiki są w rzeczywistości dziełami zawodowców, którzy czekają aż Merkel będzie przełączona w tryb autentyzmu, i strzelają, kiedy tylko kanclerz pozuje z uchodźcami. Jednym z tych fotografów jest Bernd von Jutrenka z Niemieckiej Agencji Prasowej. To on złapał Merkel razem z jazydem Shakerem. Nawet jednak ta fotografia, którą agencja natychmiast oferuje całemu światu, rozprzestrzenia się nazajutrz bez specjalnego wigoru.

Trzecim mężczyzną, który tego dnia zostanie celebrytą, jest Anas Modamani, maturzysta z Syrii. Kiedy przepycha się do kanclerz i wyciąga telefon, ona spontanicznie unosi kciuk prawej dłoni. Podczas gdy Kedida i Alasad rok później nadal będą pomieszkiwać w koszarach dzielnicy Spandau i tam współlokatorzy będą ich nazywać swoimi gwiazdami selfie, młody Modamani znajdzie berlińską rodzinę, która go ugości. W marcu 2016 roku Modamani przeżywa szok. Po islamistycznych zamachach w Paryżu i Brukseli rosyjska propaganda wykorzystuje podobieństwo nieposzlakowanego młodzieńca do

zamachowca Nadżima Laszrawiego. Dziennikarze prokremlowskiej gazety „Komsomolska Prawda” i moskiewskiej agencji „Sputnik” rozpowszechniają doniesienie, jakoby przed domem Towarzystwa Opiekuńczego Merkel pstryknęła sobie fotkę z terrorystą. Prostackie kłamstwo propagandowe ma podbudować poniekąd słuszną tezę, że niektórzy zamachowcy jako uchodźcy dotarli do Unii Europejskiej szlakiem bałkańskim.

W opowiadaniu o selfikach, które rozchodzą się po świecie, w zasadzie nic nie jest prawdą. Fotografie, które nabrały rozgłosu, są reporterską dokumentacją scenek, w których niemiecka kanclerz pozuje z arabskimi uchodźcami. Zupełnie podobnie jak zdaniu „Damy radę”, zdjęciom później zostanie przypisane znaczenie, którego początkowo nie miały. Po świecie rozchodziły się powoli, dniami, tygodniami i miesiącami po tym, jak użyto ich, aby zilustrować genezę kryzysu uchodźczego albo go wręcz nimi wytłumaczyć. Ponieważ na zdjęciach Merkel widnieje niejako w roli wyzwalacza kryzysu uchodźczego, dla prawicy w Niemczech, i nie tylko dla niej, zdjęcia selfików odpowiadają na pytanie o „winę”. Ich zdaniem dopiero życzliwa kanclerz swym ciepłym uśmiechem przywabiła tłumy uchodźców. Miesiącami Merkel kontrargumentuje: „Wierzycie, że setki tysięcy ludzi porzucają strony ojczyste i ruszają w trudną wędrówkę tylko dlatego, że jest jakieś selfie z kanclerzem?” – woła do delegatów jednej z regionalnych konferencji CDU w październiku.

W mniejszym gronie opowiada o tym, że już przed jej zdjęciami z uchodźcami w świat poszły sceny wiwatującego tłumu na monachijskim dworcu. O wyruszeniu do Europy zadecydować miało przyjacielskie oblicze niemieckiej kultury gościnności.

Argumenty te nie są fałszywe, ale Merkel nie przebija się z tą interpretacją. Twierdzenie o fatalnych selfikach nie tylko wydaje się oczywiste, ale i zdaje się wszystko wyjaśniać, bo zgrabnie narzuca obserwację, że kombinacja smartfonów i Facebooka rozstrzygająco odmieniła migrację do Europy. Internet mobilny nie tylko umożliwia uchodźcom wymianę informacji o szlakach przerzutu. Tych, co zostali, fotorelacja z udanego osiągnięcia celu zachęca do wyruszenia.

Ale to nie pomaga. W polityce faktem jest to, co ktoś przyjął za fakt. A selfiki jako przyczynę wędrowki ludów przyjęto za fakt. Merkel wie, że popełniła błąd, który będzie się mścił. Stała się odtąd dla całego świata kanclerzem uchodźców. Każda zmiana kursu będzie totalną klapą.

Robin Alexander

Robin Alexander – niemiecki dziennikarz, zastępca redaktora naczelnego *Die Welt*, autor, między innymi, wydanej przez Teologię Polityczną książki „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”.

Książka dostępna w naszej księgarni



Ministerstwo
Kultury
Dziedzictwa
Narodowego
i Sportu.



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030

